

Nr. 22. Poznań, dnia 31 Maja 1879. Rok II.

GASTOŁD.

Legenda

przez

Zygmunta Krasińskiego.*)

I.

Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto!
Dziady.

Wśród boru, oparłszy się nogą o kamień, w myśliwskiéj odzieży, stoi rycerz Gastołd, i rzecze: — Giermku mój! nieś mojéj dziewoi ten łeb z dzika, ten łeb z wilka, prędko się spraw; a w około drgają ciała pobitych zwierząt i ciecze z nich posoka po murawie. I daléj mówi jeszcze, odwołując giermka, który już jechał:

— Opisz, jakem się targał z dzikiem i wbił oszczepem o ziemię — a nadewszystko, jakem brał się w zapasy z wilkiem, jak dwa razy mnie obalił, a trzeci raz legł podemną: bo ten wilk znać był władcą lasu i odważne miał serce, prawie jako człowiek szlachetnego rodu. — Nieś odemnie słowo uszanowania i gotowość na dalsze rozkazy.

Został sam rycerz, i poprawia kaftan zdarty pazurami; niedźwiedzią skórę przerzucił na drugie ramię i wsiadł na konia. — Jedzie otoczony psami, które wyją, przechodząc obok zabitego wilka. — Cóż wam się stało, zawołał rycerz, że tak wam smutno po zwycięztwie. — Doświadczyłem was nie raz, a dziś kiedy przyszło do walki, spuściliście ogony i uszy, i z tyłu szliście za mną, zamiast coby przodem pędzić i wskoczyć na zwierza; pogniewamy się, psy moje, jeśli tak daléj będzie. A brytany idą za nim i wyją i wstydzą się. —

Las był ciemny jako zwyczajnie na Żmudzi o młodéj jesieni, kiedy już dobrze na łowy, a jeszcze żaden liść nie opadł, — nie ścieżką kierował się rycerz, ale to błotami, to łąkami, a nigdy nie zbłądził; bo doświadczony myśliwy znał legowiska dzikich zwierząt i one były dla niego jako słupy na bitéj drodze.

Było to już dobrze z południa, żadnego ptaka nie słychać, — między bukami tu i owdzie brzmi strumień zielony; bo zielona trawa z stron obu, a gdzie dolina między wzgórzami, tam czasem rozwalone kamienie świątyni pogańskiéj — a Gastołd się żegna i patrzy z pogardą na ostatki czci niedawnéj, którą wielki Jagiełło z ziemią zrównał po całéj Litwie. — Jednak choć ma oszczep u boku, a na piersiach krzyżyk pod szatą, nie miło mu i niby się lęka: — bo słyszał, że czary w tych tu miejscach się schroniły i są bardzo mocne. Owóż zmówi: Zdrowaś Marya, poprawia się na koniu i zapuszcza się daléj i to powoli, bo z konia znój ciecze.

Taki bór wielki, że zda się bez końca. Co wzgórek się uniży, to drugi się podniesie, co jar się przejedzie, to inny się zaczyna, — dęby się kończą, a sosny za niemi, piaski i sosny się kończą a trzęsawiska daléj i po nich gęszczyzna i wierzby. — Jakże też przyjmie posłańca Helena moja, Dowmunta dziedziczka; myśli Gastołd i modli się do ś. Huberta, by go mile przyjęła. — A już od dwóch lat składam jéj zdobycze z łowów i bojów, a ona przyjmuje, nic nie mówi, i coraz w nowe pędzi mnie trudy, uśmiecha się, kiedy je pokonam. — Lecz prócz uśmiechu nic nie mam. — Piękna dziewica! a znam siebie, żem brzydki, z krysami po twarzy i rudym włosem, — ale za to, że ona piękna, jam mężny, i co każe, to czynię.

Aż tu się bór rozwidnił, choć bliżéj wieczora, i zewsząd bije światło zachodu pomiędzy drzewami. — Już znać zdala pole czyste, — i coraz bardziéj zniżają się sosny, —

*) Podawszy dawniéj kilka mało znanych artykułów Z. Krasińskiego, pragniemy obecnie podawać cały szereg utworów tego wielkiego Wieszcza, prawie nieznanych szerszéj publiczności, a które w każdym razie ważnym są przyczynkiem do bliższego poznania Twórcy Irydiona. Ukażą się tedy w Lechu: *Gastołd*, *Ułomek z Rękopismu Słowiańskiego*, *Teodoro król borów*, *tłumaczenie dwóch listów Z. Krasińskiego do Montalamberta i Lamartina* i t. d. Powieść Gastołd wyszła w Warszawie 1833 r., napisana zaś była 1830 r., w Rzymie. Ośmnastoletni Krasiński założył się z Mickiewiczem, że w 24 godzinach napisze powieść. Owocem tego zakładu jest Gastołd.

drobnieją dęby; tu już krzami tylko: trochę daléj i krzaków już nie ma, tylko pełzną po ziemi malutkie jałowce.

Chata z prostych belek, słomą pokryta, stoi na łące; psy wyprzedziły rycerza, i cisną się do drzwi. Rycerz zsiadł z konia i wprowadził go pod dach. Tu uwolnił od rzędu, nasypał jadła do żłobu i spuścił zasłonę, która przedzielała komnatę jego od rumaka.

Sam został w komorze, zrzucił zbroję, — w około lśnią się oszczepy i groty; w kącie leżą rogi jelenia; i położył się na sianie zasłaném skórą rysią.

Marzy o swojéj dziewoi, a kiedy zmierzch nadszedł, zapalił ogień i znowu marzy, — Czas długim się mu wydaje, nalał więc sobie lipcu do drewnianéj czary i wychylił, chleba zjadł i mięsiwa. — Tymczasem już noc i gwiazdy po niebie. — Trąba ozwała się na łące, i koń, znać jak bieży po korzeniach. Skoczył Gastołd radośny, bo mu giermek jedzie, a z nim słowa kochanki.

Weszło młode chłopie zmęczone, bo chciało zyskać względy rycerza, i stanęło u drzwi z uszanowaniem, lecz zaledwo słowo przemówi, tchu mu nie staje.

— Jakżeś ją zastał, czy w kaplicy, czy na krużganku?

— Czy z kim, czy samą? czy wesołą, czy smutną?

— Panie mój miły, — oddałem łeb z dzika i łeb z wilka: a oba przyjęła i śmiejąc się, podziękowała, odprawę mi dała, lecz nic do picia i nic do jedzenia, i kazała cię prosić jutro do siebie.

— A był kto z nią, żwawy mój Dowryłło?

— Przezacny panie, stała na krużganku, patrząc na wody, choiny, z Świdrygajłą synem Rymunda, który patrzał na nią.

Rycerz zmarszczył brwi rude.

A w żmudzkiej naszéj ziemi piękniejszego mołodźca nie ma, jak mówią i starzy i młodzi. — Lecz także mówią; ja boję się teraz o tém powiedzieć.

— Cóż takiego, mój giermku? przeżegnaj się trzy razy i mów bez bojaźni.

Przeżegnał się trzy razy giermek:

— Mówią, że on bardziéj wierzy w Perkuna, niż w nowego Boga naszego, i że często w nocy, chodząc po lasach, rozmawia ze zwierzętami, gdyż wiadomo narodowi, że dawne bogi, pobite przez nowego zamieniły się w wilki, tury i niedźwiedzie. — Wzdrygnął się Gastołd i zbliżył do stołu, gdzie leżał miecz, i niby dla zabawy, wziął go w rękę, i niby nie z namysłu przypasał; a jak przypasał, lepiéj mu na duszy było. — Już o tem daj pokój, chłopcze, godzina nocna, bór przy nas, sami jesteśmy, a szatan nie śpi. Złe wybrałem miejsce dla téj chatki, choć prawda, że mi ztąd dogodnie jechać na całe dnie w lasy, a Helena czy patrzała często na niego?

— Nie miałem czasu zważać, bom przyjechał i odjechał: i widziałem, że nie chcieli, bym się zatrzymał.

— Jutro o świcie rząd mój stalowy na konia. — Zbroje z łusek na mnie, a zaś znużony zostaniesz tu.

Położył się Gastołd po odmówieniu pacierzy, a w nogach spał giermek. — Promienie ognia to prześlizną się po nich, to odbiegną; ciemno, aż potém znów ich oświecą na pół, i tak ciągle, aż do ostatniéj iskry nie zagasły.

II.

Na całéj Żmudzi nie znaleść takiéj wsi, jak Citowiany: bo stoi na górze nad przepaścią, w któréj huczą fale, choiny modre u spodu, a biała piana u wierzchu. Dziedziczką w nich jest kraśna Helena, jedna pozostała z rodziny po ojcu i matce.

Piękność jéj w kruczym włosie i w czarném oku; kiedy spojrzy, zda się, że ciska strzałę; kiedy śpi, każdemu by uklęknąć przed nią się zachciało, i nie raz mówili włościanie: „Miększe u naszéj pani włosy, niż serce.“

Stała teraz przed domem swoim na górze i słała wzrok na drogę z niecierpliwości. Zapewne kogoś się spodziewa, a białą ręką igra sobie po piersiach, spiętych kosztowną klamrą, i nóżkami tupie po ziemi.

Chaty wsi dziedzicznéj wokoło się podnoszą. Z jednéj strony widok na łąki, lasy, i za niemi znów łąki a z drugiéj góra zdaje się wprost spuszcza się w głąb ostrym bokiem; a postąpiwszy widne są w tajemnym dole choiny, woda która skacze po kamieniach, unosi z sobą drzewa i pędzi w liczne zakręty.

Po drodze, gdzie błądził wzrok Heleny, ukazał się rycerz konno. Miga zdala stal na jego piersiach, kopię długą trzyma przed sobą i coraz się zbliża.

Poznała gościa dziewica i roześmiała się serdecznie, nie było komu zważać, lecz w tym uśmiechu odbiło się nieco trwogi.

Wnet na zawołanie pani wyskoczyli słudzy i poszli witać rycerza: on odkrył przyłbicę i wyjechawszy w dziedziniec, zskoczył na ziemię i stoi przed Heleną jakby przed sędzią.

A Helena była bardzo blada, kiedy Gastołd przysuwał się do niéj, i rzekła:

— Rycerzu! w nieszczęśliwym dniu polowałeś i giermka przysłałeś mi swego.

A Gastołdowi smutno, że ostrém przywitan słowem, i nic nie mówi.

Helena nie zaprosiła go w krużganek, ni w sień domu, lecz stoi przed nim blada i daléj rzecze: — Znać, że ci Bóg nie sprzyja i święci, bo złe duchy nad tobą moc wzięły, nie mam sił mówić więcéj; ale zawołam kogoś, który dokończy.

Klasnęła w dłonie, a z sieni wybiegł człowiek i ukłonem powitał ją. (*)

— Świdrygajle, synu Rymwida, mów za mnie, boś był świadkiem téj nocy.

Gastołd sięgnął do przyłbicy, by ją spuścić; jakby do walki; lecz opadła mu ręka i czekał w milczeniu.

— Rycerzu, słodkim głosem zawołał młodzieniec, uśmiechając się złośliwie; twój giermek wczora przyniósł téj dostojnéj pani łeb z dzika, łeb z wilka. Dary twojego męztwa zawiesić kazała w przedsieniu; aż kiedy zmrok zapadł, łeb z wilka zawył i oczy umarłe błysnęły czerwono — i wył aż do rana; bo z rana zdjęto go z kółka i rzucono w choinę. Rycerzu! zabiłeś wilkołapa, i znać masz do czynienia z szatanem. Ja tego świadkiem byłem, bom tu w gościnę przyjęty noc przepędził.

— Przez Perkuna, zawołał Gastołd, lecz wnet się wstrzymał i przeżegnał dla bezbożnéj przysięgi, i słowa nie mógł znaleść daléj,

---

*) Nigdy mężczyzna w bardziéj dziewiczych rysach się nie urodził; płeć miękka i prawie przezroczysta na jego licach, oczy lubieżne rzucają błękitne płomienie. Miał czoło wysokie i białe, włosy jakby z nici złoconych i brodę gładką, jako kamień szlifowany, w bogatym nosił się stroju, skóry niedźwiedziéj posrebrzane łapy krzyżują mu się na piersiach, z miecza rękojeść połyska złotem. (z kronik)

A zatém nie mogę, rzekła Helena, być twoją przy ołtarzu; bo wiedzą, że ze złymi duchami masz sprawę. Prawdziwie, że kochałam cię, rycerzu, ale teraz nie mogę być twoją, — i mówiąc, z boku pozierała na Świdrygajłę a on także rozkosznie spozierał na nią.

W téj chwili zdawało się zbolałemu rycerzowi, że topór wpadł mu w serce, krzyknął. — Oh! i zawołał:

— Heleno! znam ja sztuki białogłowskie, jak bursztyny w rzędzie mego konia.

— Ty mnie nie kochasz, ale innego, a przecież on dla cię nic nie uczynił. Wspomnij sobie wszystkie moje prace.

— Krzyżak potwarzał twoję cześć dziewiczą, posłałaś mnie, i krzyżak już ust nie otworzył z pod kopyt mojego rumaka.

— Zażądałaś stu skór niedźwiedzich na jednéj komnaty obicie, pójdź do komnaty i patrz, że jest ono obicie. Z kłów dzików zachciało ci się wiązania do kaplicy, przysłałem ci ich cztery wory, a wszystkie sam wyrwałem z zabitych przezemnie.

— Tatarskich jeńców ciekawą byłaś, pięciu wziąłem dla ciebie w niewolę.

— Heleno, nie opuszczaj mnie, bo żal ci będzie; raczéj wskaż jeszcze raz, co mam wypełnić: mów, a wypełnię, lecz oddasz-że mi rękę w kościele przed kapłanem?

— Dziewiętnasty rok mi nadchodzi, i długo mogę być bez męża, odparła dziewica i rozmyślała w milczeniu.

Tymczasem wąsy jeżyły się nad ustami Gastołda z niecierpliwości, a Świdrygajło przechadzał się pomiędzy sługami domu, jak gdyby pan; kiedy zaś Helena zabierała się do mówienia, mignął okiem i palcem wskazał ku przepaści, i rozśmiał się, lecz odwróciwszy się od rycerza, a zatém Helena rzekła do Gastołda:

— Rycerzu, że proźby ostatniej nie odmówisz mi, spodziewać się należy. Siądź na konia, rozpędź go, i w biegu, zbiegłszy z téj góry, nie zatrzymawszy się przed żadną rozpadliną, ni głazem, jednym rzutem przejdź rzekę u dołu po kładce, która leży nad nią. Niechże ci Pan Bóg dopomoże, a potém będę twoją żoną.

— Gastołd nic nie odpowiedział, ale skoczy na siodło i pogłaskał konia po grzywie.

— Jedźmy, koniu, na ostatnią przeprawę.

Krok za krokiem dojechał aż do brzegu przepaści i zatrzymał się tutaj. Ręce wzniosłszy do nieba, modlił się, potém kopię ułożył w toku jakby na wroga, i dawszy ostrogi, okrążył dwa razy cały dziedziniec w oczach kochanki. Za trzecią razą rzucił się z góry. Pobiegli wszyscy, by patrzeć na rycerza, a Świdrygajło i Helena trzymali się za ręce, bo sądzili, że zginie. Po schyłku góry leciał Gastołd, ująwszy silnie wędzidła, z kamienia na kamień skakał, dwa razy przewrócił się z koniem i przeraźliwie chrzęsła mu zbroja, dwa razy powstał i leciał w pośród tumanu kurzawy. Im dalej tém kurzawa się wzmagała w koło niego, znikł połysk pancerza i chełmu, w niéj znikł sam rycerz zupełnie. Tylko słup pyłu coraz niżéj zalatuje i zleciał aż w sam dół otchłani, i już kręcąc się wirem, ulatuje nad kładką, upadł po połowie jéj w rzekę, a sam rycerz pozostał na koniu i drugiego brzegu dotyka. Skrzywił się Świdrygajło, spojrzała luba nań Helena i odbiegł z nią aż do ganku i tam jéj szeptał do ucha; i szeptał, aż okrążywszy górę, Gastołd znów na dziedziniec wjechał.

— Tyś moja, tyś moja, i już chce zarzucić ciężkie ramiona na Helenę wracający rycerz.

W oczy mu się rozśmiała dziewica.

— Ach! Gastołdzie, trzeba mi męża, żeby mnie pilnował i bronił, lecz nie takiego, który na lada rozkaz naraża życie. Żegnaj mi rycerzu, ja nigdy nie będę twoją. I pyszna z urody, spoglądając dumnie na niego, wskazała wrota.

Krzyknął Gastołd; ściskając dłonie z gniewem; a oczy mu pałały i z żądzy miłosnej i z oburzenia.

— Nie, ja twoją nie będę, żegnaj mi rycerzu, godny jesteś Laszki, one lubią takich urodziwych i barczystych. Jęknął rycerz aż mu zbroja na piersiach odpowiedziała i skoczył z wściekłością niedźwiedzia ku Helenie. Świdrygajłę obalił, dziewicę ujął ramieniem, drugą ręką, dobywszy sztyletu, twarz jéj białą końcem ostrza skaleczył od ucha do ucha.

— Przepadnij twa gładkość kobieto, noś znak po mnie i pamiątkę dla kochanka, ile cię razy będzie całował. Po tych słowach zapamiętały w szale uciekł od Citowian.

(Dokończenie nastąpi.)

WSPOMNIENIE STUDENTA.

Gawęda.

Opowiedział

TADEUSZ ZAREMBA.

(Dokończenie.)

Usiadłem wyraziwszy na twarzy uśmiech niedowierzania.

— Żywot świętej Walentyny! - wyrzekłem. — Oto tytuł opowiadania.

Lusia mówić zaczęła:

— Urodziłam się na wsi, na Pobereżu, gdzie moja matka dość piękny posiadała majątek. Ojciec mój nigdy nie miał grosza i matka, z zupełną ufnością oddawszy mu rządy w swéj wiosce, poświęciła się mojemu wychowaniu. Tymczasem interesa nasze nieszczególny brały obrot, bo chociaż majątek dość znaczne nam dawał dochody, pochłaniali je dawni koledzy i przyjaciele ojca, którzy z naszego domu prawie nie wyjeżdżali. Schlebiając i nadskakując ojcu wszystkie zawsze od niego wyciągali pieniądze, które obracali na swoje zabawy i pohulanki. Matka bardzo nad tem cierpiała, nie mogąc nawyknąć do téj nieustannej wrzawy, do tych żartów i zabaw niestósownych. Nieraz ojca prosiła, aby jakimbądź sposobem starał się swoich gości oddalić, ale daremne były jéj proźby, daremne jéj łzy nawet, — ojciec nie mógł się obejść bez towarzystwa wesołych przyjaciół. Biedna matka szczęśliwą nie była. Nieustannie się dręczyła myśląc o przyszłości, bo choć ojciec nigdy przed nią o interesach nie mówił, domyślała się, że w świetnym stanie znajdować się nie musiały. A jednak nie miała odwagi zapytać go o nie, albo mu majątek odebrać, nie chcąc najmniejszej wyrządzić przykrości. Ślepo go kochała. Poszła za niego z miłości pomimo nieukontentowania krewnych i przyjaciół, pomimo dość głośnych krzyków w sąsiedztwie.

Każdy moję matkę kochał i szanował; z początku cała okolica u niej bywała, ale w miarę tego jak się zwiększała liczba przyjaciół mego ojca, z którymi mało kto chciał mieć jakiekolwiek stosunki, okoliczni sąsiedzi poczęli

coraz rzadziej bywać w naszym domu i w końcu przestali się w nim pokazywać. I nad tem srodze moja matka bolała; w milczeniu jednak wszystko znosiła, nie chcąc się narażać na gniew męża, którego charakter z każdym dniem stawał się przykrzejszym. Widocznie jasną sobie zdawał sprawę z smutnego obrotu interesów, nie mając siły by się oprzeć prądowi który go ciągnął do zguby, chciał się zabałamucić, chciał wesoło przynajmniej doczekać się nieuniknionéj chwili, ostatecznego upadku.... Nie mam prawa nikogo tu sądzić, nie mam prawa narzekać, jestem córką... Opowiadam tylko, muszę opowiadać, do końca... O! Jakże mi to trudno przychodzi .. pewnego dnia, jakby zmówiwszy się jednomyślnie opuścili nas koledzy ojca. Spostrzegli że już nie było czego dłużej w naszym domu gościć. Majątek był zadłużony, sprzedano go. Uratowawszy trochę pieniędzy z ogólnej ruiny, przenieśliśmy się do Odessy i od razu zamieszkaliśmy w tym domku, bo życie w mieście było dla nas za drogie, a matka, która od lat kilku upadala na zdrowiu, nie chciała nawet myśleć o tem by się choć trochę ochraniać. Po całych dniach chodziła po mieście za liche pieniądze udzielać lekcyi języków i muzyki. Przy swoich zajęciach znajdowała czas jeszcze, aby nad mojem wychowaniem pracować. To długo trwać nie mogło i pewnego dnia silniej zapadłszy na zdrowiu położyła się do łóżka i już więcej nie wstała...

— A ojciec? — zapytałam.

— Ojciec?... — Walentyna otarła łzy obficie jéj z oczu płynące. — Ojciec?... Tu następuje najcięższa, najboleśniejsza część mego opowiadania...

— Nie mów... Na co masz się męczyć... Nie chcę nic wiedzieć. Co byś powiedziała — uczucia moje zostaną te same. Kocham cię i bez ciebie dla mnie szczęścia nigdy nie będzie.

— Dla tego samego musisz mnie wysłuchać do końca... Jeszcze za życia matki ojciec z trudnością mógł w domu wysiedzieć... Często znikał i czasem dniami całemi go nie widzieliśmy. Gdy matka umarła, widocznie na mój los obojętny, a nadto widząc że szyjąc, i różnych udzielając lekcyi, mogłam siebie i ciotkę wyżywić, ojciec począł jeszcze częściej oddalać się z domu i pewnego dnia zupełnie nam z oczu zniknął... nie widziałam go przez rok cały.

— Ale wrócił?... żyje?.. — pytałem z zajęciem.

— Żyje, — szepnęła Lusia i głowę spuściwszy, zarumieniona dalej mówiła urywanym głosem: — Raz jeszcze był u nas... przenocował tylko... krył się...

— Dosyć! — zawołałem. — Nie mogę patrzeć na twoje męczarnie...

— Od tej pory go nie widziałam,.. Nie wiem co się z nim dzieje... Skończyłam. — Mocno zarumieniona zamilkła nie śmiejąc podnieść oczu. I ja długo milczałem, nie wiedząc co jej wypadało powiedzieć. Pocieszać?... prawa do tego nie miałem...

W końcu myśli zebrawszy wyrzekłem:

— Pani... Lusia... Na cóż mi było to wszystko opowiadać?... patrzałem na ciebie. Mówiąc, okropnie cierpiałaś. Twoje usiłowania były daremne... Popędem szlachetności wiedziona, chciałaś mnie dać poznać położenie swoje, sądząc że ona moje postanowienie nadwerężyć zdoła... Widziałem rumieniec wstydu na twarz twą występujący... Jak przyjmiesz moje nazwisko, — już się nigdy rumienić nie będziesz.

Spojrzała na mnie z wdzięcznością, ale smutnie głową kiwnąwszy, odparła:

— Nie mówmy o tem. Do tego nigdy przyjść nie może... pokochałam cię od razu jak brata, bo jeden okazałeś mi względy, do których ma prawo każda uczciwa dziewczyna, wtedy gdy drudzy.... E!.. na co nam o tem wspominać!...

Otarła kilka łez, które jej wolno po policzkach spływały, wstrząsnęła główką i uśmiechnąwszy się, rzekła prawie wesoło:

— Przed każdem z nas długa jeszcze droga. Drogi te zupełnie różne do siebie, nigdy się spotkać nie powinny. Rozstańmy się jak przyjaciele... Do śmierci nie zapomnę o tem, że poznałam wzniosłe serce, które bić umie szlachetnie na przekór ludzkim wymaganiom i przesądom... Ale tych przesądów nie masz prawa przełamywać. Niech każdy z nas na swojem miejscu zostanie... tak będzie najlepiej — Żegnam pana.

To mówiąc, powstała z krzesła i spojrzawszy na mnie z niewymownie słodkim uśmiechem, podała mi rękę. Schwyciłem ją wołając.

— O! nie wypędzaj mnie!... Daj się przekonać!..

— Józefie!... Odejdź; proszę cię o to. Po wyznaniu, które ci uczyniłam, nie masz prawa dłużej tu zostawać... każda chwila powiększa moje męczarnie.

Musiałem uledz.

— Do jutra! — zawołałem całując ją w rękę.

— Nie... Nie, Józefie... Musimy się rozstać na zawsze... Odwagi, Panie Józefie!...

— Nie mogę... Ja tu wrócę... Jutro powrócę!

Ale żadnej nie otrzymałem odpowiedzi. Lusi już w pokoju nie było.

Dwa strumienie gorących łez trysnęły mi z oczu. Byłem najnieszczęśliwszym z ludzi.

Nagle usłyszałem głos ciotki:

— Jakto! Lusi tu nie ma?...

Podniosłem głowę. Stała w progu pokoju.

— Jakże to niegrzecznie w ten sposób gości porzucać, — mówiła. — Zaraz ją tu sprowadzę...

Nie dosłyszałem reszty jej mowy. Zawstydzony, zmieszany uciekłem.

Gdym powrócił do do domu profesor rzekł do mnie z wesołym uśmiechem:

— W tej chwili otrzymałem telegram od pańskiego ojca. Jutro tu będzie. Prosił o zamówienie mu mieszkania w hotelu.

Ta nowina bardzo mnie zaniepokoiła, zamiast radość mi sprawić. Po co mój ojciec przyjeżdżał?... Czy mu kto doniósł o mojej miłości?... Było jeszcze za wcześnie, aby się przed nim zwierzać... należało go powoli przygotowywać do tego... Próżno sobie głowę łamałem, nie mogłem odgadnąć co do Odessy ojca tak nagłe sprowadzało. Nie wpadłem nawet na myśl że mój list był tego przyczyną. Z wielkiem nieukontentowaniem myślałem o jutrze... Nadto — spodziewałem się, że mnie o szkolne cenzury zapyta... Wcale się z niemi popisać nie mogłem.

W najgorszym humorze udałem się na spoczynek.

* * *

Dnia następnego miałem egzamin z historyi. Od dziesiątej z rana byłem już w szkole. Wywoływano uczniów w


CZERWIEC

alfabetycznym porządku. Na mnie przyszła kolej około dwunastej.

Stanąłem przed zgromadzonymi profesorami.

— W którym roku wstąpił na tron hiszpański Filip II? — zapytano.

Milczałem.

Zdziwiony profesor historyi postawił mi drugie pytanie:

— Opowiedz pan dzieje Cromwela.

Inaczej usposobiony byłbym się niezawodnie bez trudu z zadania wywiązał, ale mi na myśli stała Walentyna i moje nieszczęścia. Znowu przeto odpowiedziałem milczeniem. Zauważyłem, że asystujący przy egzaminie dyrektor marszczył się i groźne rzucał spojrzenia. Co mnie mógł obchodzić dyrektor wraz z Cromwelem?... wszystko co Lusi nie dotyczyło zupełnie było mi obojętnem.

— Co to jest! — mruczał niespokojnie profesor historyi. — Najlepszy mój uczeń!.. nie poznaję go... — Po chwili namysłu znowu mnie zapytał.

— Czy możesz pan wyliczyć w chronologicznym porządku wszystkich Walezyuszów i Burbonów?

— Nie panie, — odparłem.

— Dosyć, — rzekł sucho dyrektor.

— Pozwól pan... niech mu jeszcze postawię jedno pytanie, — prosił zacny profesor. — Nie rozumiem co mu się stało... Zawsze był pierwszym w historyi.. To najlepszy mój uczeń.

— Dosyć, dosyć, — powtórzył dyrektor, który był głodny. Godzina jego śniadania dawno minęła, a po mnie kilku jeszcze musiało przeegzaminować. Dyrektorowi było bardzo pilno.

— Jeszcze jedno pytanie! — błagalnym tonem mówił profesor z boleścią na mnie patrzący.

— Nic panie, nie ma czasu, — odparł dyrektor. — Dałeś — mu pan trzy pytania, na które nic odpowiedzieć nie umiał. Może być, że się dobrze uczył w ciągu roku, ale widocznie sobie zaufał i nie zajrzał nawet przed egzaminami do książki. Popracuje przez wakacye, a w sierpniu będzie mógł się poprawić. — To mówiąc dyrektor dał mi znak ręką, abym się oddalił.

Wyszedłem z egzaminowej sali.

Powracać do domu nie miałem ochoty. Mogłem zastać tam ojca. Zarazby mnie zapytał o rezultat egzaminu. Postanowiłem wieczorem dopiero pojawić się w domu. Przedtem musiałem koniecznie widzieć się z Lusią i raz jeszcze szczęścia spróbować. Może się przez noc rozmyśliła, może mi zrobi jaką nadzieję. W takim razie wezmę się do zbadania usposobień ojca. Od tego zależeć będzie dalszy plan postępowania. Może będę zmuszonym czekać do pełnoletności..?

Głód mi począł dokuczać. Udałem się do niedalekiej garkuchni i tam się posiliwszy wyruszyłem w drogę na Peresyp.

Koło trzeciej dzwoniłem do mieszkania Lusi.

Jak wczoraj, otworzyła mi furtkę służąca. Poznawszy mnie, rzekła nie czekając pytania:

— Nie ma pań w domu.

— A gdzież są?

— Z rana jeszcze wyszły do miasta.

— Nie mówiły ci o której mają powrócić?

— Dopiero wieczorem.

To mówiąc służąca furtkę zamknęła.

— Będę czekał, — pomyśliłem, — chociażbym miał czekać do późnej nocy. Muszę widzieć się z Lusią nim ojca zobaczę.

Udałem się nad brzeg morza. Tam usiadłszy na piasku oczy w horyzont wlepiłem i począłem marzyć, jak może tylko marzyć zakochany i nieszczęśliwy szesnastoletni student nad brzegiem morza siedzący. Marzenia moje wcale wesołe nie były. Czasem tylko słabo w nich promień nadziei na chwilę zaświecił, rozjaśnił je, ale gdy zniknął ciemności były jeszcze straszniejsze.

W ten sposób cztery godziny prześniłem. Wynikiem moich rozmyślań było przekonanie, że bez Lusi żyć w żaden sposób nie mogę, że dla niej gotów jestem narażać się na gniew rodziców, szyderstwa znajomych, a nadto na najokrutniejsze i najbardziej nieprawdopodobne niebezpieczeństwa.

— Trzeba iść do niej, — myślałem powstając. — Musiała już wrócić. Słońce zachodzi... z pewnością ją w domu zastanę.

Ale daremnie przy furtce dzwoniłem. Nawet brzydkiej służącej nie zobaczyłem tym razem.

Zniechęcony począłem spacerować wzdłuż muru, którym ogródek był otoczony. Powoli się ściemniło. Przechodnie stawali się coraz rzadszymi, bo każdy starał się już być w domu przed nadchodzącą nocą. Miałem głowę tak smutnemi myślami nabitą, żem zupełnie zapomniał o „katakumbach“ i „szarlatanach“, tych widmach straszących każdego, gdy tylko słońce się skryje.

Powoli noc zapadła. Niebo było zachmurzone, a rogaty księżyc nie mógł przebić tej ciemnej zasłony. Ulice już były zupełnie puste. Czasem dolatywały mnie śpiewy pijanych rybaków i majtków, raczących się w jakim poblizkim szynku. Gdzie nigdzie w oknach migały niepewne światełka rzucając przez szerokość ulicy długie, drżące pasma jasności. Po upływie pewnego czasu zgasły te światła i śpiewy pijaków ucichły. Byłem sam, wśród groźnych ciemności. W myśli tylko widziałem jaśniejący obraz Walentyny, którą zdobyć musiałem, w koło której splatały się moje marzenia jakby ją przytrzymać i uwięzić chciały.

Nie miałem wyobrażenia o tem, która była godzina. Jak mara spacerowałem dalej wzdłuż muru.

Nagle przyszła mi straszna myśl do głowy:

— Walentyna dzisiaj nie przyjdzie!.. Darmo tu czekam.

Po chwili jednak błysnął promień nadziei.

— Ona w domu i nie chce mnie widzieć... Dostanę się do niej!..

Podbiegłem do furtki, spróbowałem ją otworzyć; mocno była zaryglowana. Dzwonić nie było po co. Postanowiłem jak rycerz przez mur dostać się do ogródka. Nie tak to łatwem było zadaniem. Po ciężkich trudach udało mi się uczepić muru. Mimowolnie z bolu krzyknąłem, bo na wierzchu były rozrzucone kawałki szkła i gwoździe. Opadłem na ziemię.

Po chwili jednak z nową energią przystąpiłem do muru:

— Takie dzieciństwo ma mnie przestraszyć? — myślałem — nigdy!...

Nagle do uszu moich doleciał krzyk przeraźliwy. Poznałem głos Walentyny, która widocznie wołała o pomoc.

Pobiegłem w stronę zkąd krzyk słyszeć się dawał. Po chwili rozróżniłem kilka postaci żywo się poruszających

wśród ciemności. Między niemi dostrzegłem dwie kobiety. Już żadnej wątpliwości mieć nie mogłem. Podwoiłem biegu i wpadłem jak bomba pomiędzy domniemanych złodziei. Tak było ciemno, żem żadnej twarzy nie mógł rozpoznać; przyskoczyłem do wysokiego mężczyzny, który zdawał się być zajęty wiązaniem jednej z kobiet.

— Puść ją! — zawołałem, chwytając go za rękę.

Silnie mnie odtrącił i upadłem na ziemię. Poczułem okropny ból w ręku i omdlałem. Nie wiem kiedy wróciłem do przytomności. Spróbowałem się ruszyć... byłem mocno sznurami związany. Usta miałem jakąś chustką zatkane. Okropny ból w ręku nie dawał mi spokoju.

— Prędko... do karety! — wyrzekł głos jakiś po którym zdało mi się poznać Karola. Spieszcie się, bo może nadejść pomoc. Starą puścić możecie. Ona mi się na nic nie zda.

— Tu sam djabeł nie pozna która stara, a która młoda, — rzekł śmiejąc się jeden z bandy.

— Niechaj kareta tutaj zajedzie, — rzekł Karol. — Jeden z was ze mną wsiądzie.

— Ja wsiądę, — odparł ten, który zdawał się bandzie szarlatanów przywodzić.

Po chwili zajeżdżała kareta przez cztery konie ciągniona. Usłyszałem obok siebie płacz i jęki... Była to nieszczęśliwa Lusia.

— Prędko! — mówił Karol, wskazując do karety. — Dawajcie ją tutaj.

Wódz szarlatanów schwycił Walentynę na ręce i poniósł do powozu.

Nagle z za chmury księżyc zajaśniał na chwilę. Wódz spojrzał na brankę, zadrżał i z rąk ją wypuścił:

— Walentyna! Lusia! — zawołał tonem dzikiej rozpaczy.

— Ojcze! jęknęło dziewczę.

— Policya! — zawołał z przestrachem jeden z bandy i począł uciekać. Wszyscy poszli za jego przykładem. Po chwili nikogo nie było. Zostały tylko Lusia z ciotką, obie związane.

. . . .

— Kąpiel dla dla jaśnie pana gotowa, — rzekł Iwan nagle się w pokoju zjawiając.

Józef powstał z fotelu.

— Jakiż koniec? — zapytałem wstrzymując przyjaciela.

— Już koniec, — odparł z uśmiechem, — policya nadeszła, uwolniła nas. Pokazało się, że miałem rękę złamaną. Walentyna z ciotką wróciła do domu. Byłem tak osłabiony, że mnie prowadzić musieli żandarmi. W salonie profesora zastałem ojca, który się bardzo niepokoił o mnie. O nic nie pytając położono mnie do łóżka i sprowadzono doktora. W kilka tygodni potem wykurowany fizycznie bez trudu serce uleczyć zdołałem, gdyż na wsi przez miesiąc patrzyłem na wdzięki... piętnastoletniej kuzynki.

— A jej ojciec?...

— Spotkałem go temu lat kilka w Genewie, gdzie emigranta udawał. Nie wiem czy jeszcze żyje.

To mówiąc Józef podał mi rękę.

— Dobranoc, — rzekł. — I za Iwanem do łaźni pospieszył.

Drezno, 2 Września 1878.

Koniec.

Rozmowa z grobem.

Otwórzcie wrota podziemi,
Kamień odwalcie grobowy —
Chcę ujrzeć pradziadów głowy,
Chcę trochę pomówić z niemi.

Chcę się przytulić do piersi
Tych mężnych ojców postaci;
Trupi, — a jednak są szczersi
Od wielu moich współbraci.

Ich zimne serce mnie grzeje,
Bo choć oddawna skostniało,
Czuję, że miało nadzieję,
Czuję jak bardzo kochało,
Czuję, że usta milczące
Nieraz zwracali do Boga,
Że ręka niegdyś tysiące
Zwalczała ojczyzny wroga. —
Otwórzcie oczy ojcowie,
I niech się wzrok wasz wysili,
I niechaj każdy z was powie
Czyliście za to walczyli,
Czy za to daliście życie
Co teraz w świecie widzicie?

O równym ziemi podziale,
O wspólnej wszystkich własności
Wciąż głoszą w swoim zapale
Te bohatery ludzkości.

I z krwawem światłem pochodni
W istnych szatanów postaci,
Prowadzą ciemnych do zbrodni,
Do mordu swoich współbraci.

Ich hasłem: „precz z wszelką władzą!“
Tem godłem szafując wściekle,
Lud do wolności prowadzą,
Aż wolnym osadzą w piekle.

Czy wtedy gdyście w młodości
Za wolność kraju walczyli
Takiejście chcieli wolności
I taką Polskę marzyli?!

Głos z grobu.

Niech będą w wieków pamięci
Po tysiąc razy przeklęci!
Nurtują, ryją zaciekle,
Lecz znajdą karę za grzechy
I sami osiędą w piekle —
Wam błyśnie promyk pociechy.

I nas, gdy tutaj złożono
W to zimne kamieni łono
Promień słoneczny daleki
Był nam wzbroniony na wieki.

Ty dzisiaj rozwarłeś groby,
I czyste światło słoneczne
Wpadło w tę otchłań żałoby
W nasze ciemnice odwieczne.

Więc miejcie tylko nadzieję:
Wkrótce was słońce ogrzeje —
Lecz niech, bracia, zawsze, wszędzie
Przepowiednia nasza stara
Waszych czynów hasłem będzie:
Sztandar, honor, kraj i Wiara!

And. Fredro.

Wiadomości Literackie.

Redakcya Książki Jubileuszowéj J. I. Kraszewskiego podaje do powszechnéj wiadomości, że już rozpoczyna druk tego wydawnictwa, które mniéj więcéj na czterdziestu arkuszach wielkiéj ósemki zawierać będzie, oprócz obszernego życiorysu Jubilata, obraz wszechstronny jego działalności literackiéj, przedstawiony w studyach i sprawozdaniach, traktujących o utworach jego w każdéj gałęzi piśmiennictwa, a złożonych przez trzydziestu przeszło pisarzy, którzy pomiędzy siebie rozdzielili tę pracę, za olbrzymią na siły pojedyncze.

Pisarze ci są następujący: Piotr Chmielowski (który dał studyum o pierwszém dziesięcioleciu zawodu pisarskiego Kraszewskiego),

Maryan Gawalewicz, Stanisław Grudziński, Dyonizy Henkiel, Edward Lubowski, Walerya Marrené, Eliza Orzeszkowa (o powieściach obyczajowych), Kazimierz Kaszewski (o powieściach ludowych), Tadeusz Korzon (o powieściach z dziejów rzymskich), Władysław Nehring (o powieściach historycznych z XVI i XVII wieku), Kazimierz Jarochowski (o powieściach z epoki saskiéj), Władysław Smoleński (o powieściach z epoki Stanisławowskiéj), Michał Bobrzyński (o cyklu powieści historycznych), Wincenty Korotyński (o utworach poetycznych), Władysław Bogusławski (o utworach dramatycznych) Jan Karłowicz i Konstancya Skirmuntówna (o dziejach Litwy i Litwie za Witolda), Adam Kirkor (o historyi miasta Wilna), Jan Kazimierz Plebański (o pamiętnikach historycznych), Henryk Struve (o poglądach filozoficznych Kraszewskiego), Roman Plenkiewicz (o studyach literackich i krytyce), Wojciech Gerson (o pracach Kraszewskiego, odnoszących się do historyi i teoryi sztuk pięknych), Antoni Bądzkiewicz (o podróżach po kraju), Józef Łepkowski (o pracach archeologicznych), Kazimierz Wójcicki (o projekcie Encyklopedyi starożytności polskich), Włodzimierz Spasowicz (o redaktorstwie Athenaeum), Edward Sulicki (o redaktorstwie Gazety Polskiéj). Jan Zacharyasiewicz (o typach kobiécych w powieściach Kraszewskiego), Aleksander Kraushar (o zapatrywaniu się Kraszewskiego na kwestyę żydowską), Aleksander Tyszyński (Kraszewski w Warszawie r. 1846), Jan Gloger (czasy szkolne w Białéj), Hipolit Skimborowicz (bibliografia wszystkich pism Kraszewskiego), Adam Pług (życiorys jubilata.)

Książka ta ozdobiona będzie dwudziestu drzeworytami, przedstawiającemi Jubilata w czterech epokach jego życia, prababkę jego Nowowiejską i babkę Malską, które pielęgnowały go w leciech dziecinnych, jako téż portrety jego rodziców; nadto zaś następujące widoki: domu przy ulicy Aleksandryi w Warszawie, w którym się Kraszewski urodził, oraz różnych miejscowości, z życiem jego związanych, mianowicie: Romanowa, Dołhego, zamku Radziwiłłowskiego w Białéj, gmachu uniwersyteckiego w Wilnie, Horodca, Omelna, Gródka, Hubina, Kisiel, willi w Droznie i wnętrza gabinetu. W końcu zaś dołączone będą trzy facsimilia pisma Jubilata: z lat dziecinnych, młodzieńczych i dojrzałych.

Przedpłata na to wydawnictwo pamiątkowe, nad którego znaczeniem i wartością rozwodzić się byłoby z naszéj strony rzeczą niewłaściwą, w stosunku już do samych rozmiarów dzieła i obfitości rycin, jest nadzwyczaj nizka, gdyż wynosi tylko za egzemplarz broszurowany w Warszawie rubli 3, na prowincyi rubli 3 kop. 50; za oprawę zaś w ciemne płótno angielskie dopłaca się (w razie żądania) kop. 75, w jasne rub. 1.

Cena tak przystępna ustanowiona została dla jak najszerszego rozpowszechnienia *Książki Jubileuszowéj*, któréj celem jest: nietylko upamiętnić rocznicę półwiekową jednego z najprzedniejszych i najzasłużeńszych naszych pisarzy, ale téż i dać poznać ogółowi, w pełnym, choć treściwym obrazie działalności tego pisarza, cały ogrom jego pracy, znakomitość talentu i doniosłość zasługi, o których niewątpliwie mało kto z czytelników zwyczajnych sam przez się mieć dokładne może pojęcie; bo ileż na to czasu i jak wszechstronnego ukształcenia potrzeba, aby przeczytać i ocenić to wszystko, co ten umysł potężny w ciągu lat 50 wytworzył!

Wiedzieć wszakże należy, iż ta przystępność ceny, niepraktykowana przy zwykłych wydawniczych warunkach, tu się stało możliwą, dzięki tylko chwalebnej ofiarności naszych wydawców, drukarzy i księgarzy, z których pan Gracyan Unger wziął na siebie bezinteresownie druk książki, inni zaś złożyli fundusz na papier, drzeworyty i t. d.; zbytecznie zaś powiadać, że między pisarzami, którzy udział w téj pracy wzięli, nie było ani mowy o honoraryum.

Ubliżylibyśmy więc naszéj publiczności, gdybyśmy przypuszczali, że nie zyska u niéj sympatyi książka, w taki sposób zebrana i wydana, tak cenna a niedroga, mająca zaś na celu, obok uczczenia Jubilata, przysporzenia mu środków do opędzenia się troskom powszednim i do zaspokojenia niejednego z tych wzniosłych pragnień, w których dobro powszechne łączy się z błogiém zadowoleniem duszy.

Nie nawołujemy przeto i nie zachęcamy prenumeratorów, których sporą liczbę już mamy, a wśród których gubernia Łomżyńska z ofiarą swą, dochodzącą do dwu tysięcy rubli, jaśnieje najpiękniejszym przykładem; ostrzegamy tylko, że za kilka tygodni przedpłata już będzie zamknięta, a zatém, kto się spóźni, ten samemu sobie winę przypisze, iż nie będzie już mógł posiadać téj szacownéj pamiątki, która się nie znajdzie w handlu księgarskim.

Przedpłatę można składać w redakcyach pism i w znaczniejszych księgarniach warszawskich.

Upraszają się wszystkie czasopisma, aby raczyły powtórzyć niniejsze ogłoszenie.

(Z Biblioteki Warszawskiéj z zeszytu za maj 1879 rok).

Uwagi Krytyczne
E. Calliera
nad
Złotą Księgą Szlachty Polskiéj,
ułożoną i wydaną przez
Teodora Żychlińskiego.
XII.

Bukowieccy herbu Drogosław.

„Bukowieckich, powiada nam p. Żychliński w przypisku 4, na stronie 261, — nie wymienia żaden z dawniejszych heraldyków naszych i dopiero Kuropatnicki ich w rzędzie nazwisk szlachty polskiéj pomieszcza, a Małachowski herb im Drogosław przypisuje.“

Cały ten przypisek nie zawiera jednego zdania, zgodnego z prawdą.

Prawdą albowiem jest, że najdawniejszy z naszych heraldyków, Paprocki, wymienia Bukowieckich pod herbem Drogosław; nie potrzebował więc w tym względzie czekać ani na Kuropatnickiego, ani na Małachowskiego, na pierwszego, ażeby Bukowieckich w rzędzie nazwisk szlachty polskiéj pomieścił, na drugiego, ażeby im przypisał herb Drogosław.

„Bukowieckich dom w poznańskiem województwie starodawny,“ pisze wyraźnie Paprocki.

O Bukowieckich z Bukowca herbu Drogosław wspomina Łukaszewicz w dziele swem o kościołach Braci Czeskich w dawnej Wielkiej Polsce.

Niesiecki nie wykazuje ich wprawdzie w porządku abecadłowym, ale zamieszcza ich pod herbem Drogosław i pisze o nich pod Buchowieckimi.

„Buchowiecki herbu Drogosław albo *Bukowiecki*, mówi (przywiedziony właśnie heraldyk, — w Poznańskiem i Podlaskiem województwach kiedyś się gnieździli.“

I Stupnicki, który czerpał z Małachowskiego, nie wymienia Bukowieckich w porządku abecadłowym, lecz pod Buchowieckimi.

Wynika ztąd, że albo Bukowieccy herbu Drogosław pisali się raz tak, drugi raz Buchowieckimi, albo następcy Paprockiego pomięszali jednych z drugiemi; łatwo bowiem być może, iż są jednego herbu: Drogosław i Buchowieccy z Buchowic i Bukowieccy z Bukówca, jedni Litwini, drudzy Wielkopolanie.

Autor Złotej Księgi chcąc ilustrować swych Bukowieckich zajrzał do Niesieckiego, a nie znalazłszy ich tam, do tomu dodatkowego Bobrowicza. Tu spotkał się z przywiedzionymi Kuropatnickim i Małachowskim, - i otóż geneza przypisku 4, na stronie 261. — Najświeższej daty heraldyk zapomniał o Paprockim.

ŁAMIGŁÓWKA.

Pierwsze trzy głoski znane z parlamentu,
A z czwartą razem więcéj dwóch nie warta;
Lecz gdy się kocha, pragnie sakramentu,
A gdy ściśniona, gwałtownie wybucha;
Czwarta i piąta oznaczają kartę;
Trzy zaś ostatnie ongi zdrowie ducha,
Godło dowcipu, dzisiaj jéj najwięcéj —
O zgrozo wieku! czerwono — bydlęcéj...
A wszystko razem z początku do końca
Chwilowe sprawia nam zaćmienie słońca.

S. T. D.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.